TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 52. *Chicago, Ills., 24 Czerwca, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU.

(Dokończenie.)

Nieszczęśliwa wdowa chwyciła rękę swego prześladowcy, zaklinając go w najtkliwszych wyrazach, by się skłonił do jej żądania. Ale wszystko było daremne. Widok łez tej kobiety zdawał się koić jego boleści.

— Wiesz, co to jest cierpieć? — odezwał się. — Tajemnica moja umrze wraz ze mną! Nie doznasz żadnej pociechy... Nawet się nie dowiesz, czy twój syn żyje, lub czy spróchniał w grobie, jak jego ojciec!... Kochałem cię niegdyś... ale wolałaś z nas dwóch wybrać bogatego... ja byłem biedny!

— Czy nie masz serca człowiecze? — wtrącił doktor Orine.

— Kto wie... może i mam, ale w każdym razie twoje sofizmata nie zbudzą go w mojej piersi!... Nie wierzę w skruchę, ani w te śmieszne brednie, jakiemi ty i drudzy księża tobie podobni łudzicie nas na łożu śmierci!... Nie omyliłaś się, — dodał zwracając mowę do

owdowiałej lady Mowbray, — głos serca twojego słusznie cię ostrzegł: to ja wmówiłem w kapitana Lucas, żeś się w nim zakochała; to ja z nim wspólnie uknułem całą tę intrygę, która cię w przepaść nieszczęścia wtrąciła!... Pragnąłem widzieć cię zhańbioną, występną, skalaną błotem zepsucia i bezwstydu; nie udało mi się... ale za to zostawię cię bez dziecka!...

— Boże mój, użycz mi cierpliwości! — zawołał Henryk gniewem uniesiony, — bo zapomnę, com winien pamięci Waltera i sir Williama, i uderzę tego nikczemnika!

— Psie podły! synu żebraka!... — mruknął pułkownik.

— Kto śmie mówić, że Henryk Ashton jest psem, żebraczym synem? — odezwał się mężczyzna słusznego wzrostu, wchodzący właśnie z pułkownikiem Butler, który dotychczas zajęty był w innym pokoju spisywaniem zeznań Ralfa i Joego.

Był to Khan; cała jego powierzchowność tak się odmieniła, że gdyby nie dźwięk mowy, nie łatwo by go poznano. Nie miał już dawnej brody, która mu zasłaniała twarz do połowy, ani wschodniego stroju.

Na głos jego, Mowbray zadrżał.

— Słusznie mówisz, Filipie, — rzekł dzierżawca Ashton, podając rękę bratu. — Powiedz temu pysznemu człowiekowi, że Harry nie jest synem włóczęgi, ale dzieckiem człowieka uczciwego. Nigdy nie wątpiłem, żeś prawnie poślubił jego matkę!

— Filip Ashton! to istotnie Filip Ashton! — szepnął stary Marcin. — Dzięki Bogu, wszystko się w końcu wyjaśni!

— Mój ojciec! — zawołał Henryk mniemając, że poznał wreszcie tajemnicę swego urodzenia. Zbliżył się do Khana zwolna i z rumieńcem na twarzy. Dziwne go dręczyły uczucia; nie doznawał w sercu ani miłości, ani szacunku głębokiego dla swojego ojca.

Filip Ashton ręką odsunął go od siebie, a zbliżając się do lady William Mowbray, przemówił z uszanowaniem:

— Nie lękaj się, milady, złośliwości tego człowieka! Zuchwałość jego jest wielka, ale dzięki Bogu nie jest w stanie szkodzić ci więcej. Syn twój żyje, milady!... i znajdziesz go godnym twojej miłości.

Okrzyk radości wyrwał się z piersi biednej matki.

— Przysięga twoja!... nie śmiesz złamać przysięgi! — zawołał Mowbray z wyrazem wściekłości.

— Przysięga wiąże mnie tylko do twego ostatniego tchnienia! — odparł Filip poważnie. — Dotrzymam jej... Parę chwil prędzej lub później nie wiele już znaczy... jeżeli szatani czekać mogą na twoją duszę, to milady, której tyle krzywd wyrządziłeś, poczeka także aż umrzesz!

Ta odpowiedź pełna goryczy nowe udręczenia zadała umierającemu. Byłby teraz oddał wszystkie skarby świata, byle w zamian mógł odzyskać siły, rzucić się na Khana i razem z nim zabić swoją tajemnicę.

— Podnieś mnie, master Harry, — jęknął Marcin, biorąc w dłonie pomarszczone rękę młodzieńca, a przyciskając ją do serca, dodał: — Nie odchodź odemnie... Wzrok mi się już ściemnia, a chciałbym napatrzyć ci się przed zgonem! Chciej mi podać lekarstwo, dla pokrzepienia sil uchodzących! Nie trzeba... nie mogę umrzeć wprzód, niż ten niegodziwiec!... Zakwitnie... moje dziecię drogie... zakwitnie jeszcze aloes i wyda kwiat dawno obiecany!

— Co to ma znaczyć, starcze, co chcesz przez to powiedzieć? — zawołal nasz bohater, olśniony nagle jakimś promykiem powstającej w nim nadziei, — czy ja marzę?...

— Wkrótce wszystko na jaw wyjdzie... oddawna ci zapowiedziałem!

Starzec, który widocznie był już blizki skonu, wypił posilek.

— Boże, utrzymaj mnie jeszcze przy życiu! — westchnął Marcin, — abym godziną przeżył tego nikczemnika!... Dla miłości mego drogiego pana, oby mi Nieba potrzebnej udzieliły siły...

Była to dla obecnych chwila uroczysta i przykra. Zabójca gasł powoli, usiłując niekiedy stawić opór zbliżającej się śmierci; Khan, czyli raczej Filip Ashton stał naprzeciw niego u rogu sofy, spokojny i nieruchomy, patrząc w twarz konającego.

Lady Mowbray blizka omdlenia, siedziała w drugim rogu komnaty naprzeciw Marcina. Wzrok jej spotkał się kilkakrotnie ze spojrzeniem Henryka, i dziwne wzruszenie zawładnęło jej sercem.

— Gdyby tak było!... ach, gdyby tak być mogło!... — szepnęła ściskając rękę księżnej, która jej nie odstępowała.

Nareszcie pułkownik Mowbray skonał, z przekleństwem na ustach i z wyrazem nienawiści w spojrzeniu...

— Już nie żyje! — rzekł chirurg, — teraz tylko Bogu zda rachunek z uczynków swoich!

Na te słowa, Marcin silniej uścisnął rękę Henryka.

— Wiedziałem, że przeżyję tego zdrajcę, — szepnął głosem stłumionym; — przeczuwałem to... teraz wszystko się wyjaśni...

XLIX.

Wtedy podnosząc się bez niczyjej pomocy, stary masztalerz zawołał dobitnie:

— Filipie Ashton, mów teraz w imię Boga! Prześladowca nie żyje... nadeszła godzina wyświecenia prawdy!

Oczy wszystkich zwróciły się na wezwanego, który stał spokojnie, zachowując wyraz twarzy niezmieniony. Każdy przeczuwał, że usłyszy coś niepospolicie dziwnego, jakieś zdarzenie osobliwsze, którego rozwiązanie przewyższy najwybredniejszą wyobraźnię.

— Możeby lepiej było odłożyć to na później, — przemówiła księżna Devonshire, widząc niepokój dręczący jej przyjaciółkę.

— Nie! nie! jestem blizki śmierci, — prosił Marcin, — a mam jeszcze do spełnienia święty obowiązek! Nie umrę spokojnie, nie unosząc z sobą przekonania, że kiedy się spotkam z moim szlachetnym panem w lepszym świecie, on powita mnie uprzejmie widząc, że nie zawiodłem jego zaufania. Mów więc, Filipie, mów, błagam cię!...

— Ma słuszność! — dodała wdowa, przewidując spełnienie najdroższych swoich nadziei. — Nie lękaj się, droga przyjaciółko! Radość mnie nie zabije, a każda nowa boleść znajdzie mnie przygotowaną, bom doznała, co w życiu jest najsroższego!

Z kolei zabrał głos Maciej Ashton; biedny rolnik przeczuwał, że może go dotknąć cios, niszczący długoletnie nadzieje.

— Filipie, — odezwał się do brata, — jeżeli wiesz coś ważnego, co odnosi się do życia tego przewrotnego człowieka, który w oczach naszych pożegnał się ze światem, albo do syna naszej biednej pani, to mów bez ogródki; wszak tu idzie o cześć imienia twojego i naszego nieboszczyka ojca, który nam to imię bez plamy w spuściźnie przekazał!

Naglony ze wszystkich stron, Khan odezwał się w te słowa:

— Usprawiedliwienie moje zawierać się będzie w tem, co mam wyjawić. Stare nagrobki cmentarza Carrowskiego wzdrygnęłyby się na kościach moich praojców uczciwych, gdyby z mojej winy pozostała najmniejsza skaza na starem Ashtonów nazwisku. Zwracam się do tych co mnie zrozumią, i doznają współczucia dla dumy zacnego i uczciwego oracza, zawsze wiernie przywiązanego do właścicieli tej roli, którą potem czoła naszego od wieków użyźniamy! Nie czując skłonności do ciężkiej pracy około uprawy ziemi, jak mój brat i moi przodkowie, wstąpiłem do wojska mając lat szesnaście, i przydzielony zostałem do pułku, którym dowodził ten zuchwały i występny człowiek, który właśnie skonał w naszych oczach. Długie lata służyłem ojczyznie mojej nie tylko w skwarnym klimacie Indyi, ale i w innych koloniach, jej berłu podległych. Pułk nasz niemało ucierpiał w okolicy Assam, gdzie miałem sposobność odznaczenia się, ocalając życie memu dowódzcy. Wkrótce wezwano nas do Anglii, gdzie stanęliśmy załogą w pobliżu Londynu. Rzadko kto ma dokładne wyobrażania o cierpieniach żołnierza. Za lekkie wykroczenie przeciwko karności wojskowej, zostałem skazany na rózgi; miano mnie przywiązać do słupa, jak psa, i ćwiczyć w obliczu wszystkich współtowarzyszy. Nie bólu się lękałem, ale hańby. Jeden tylko człowiek mógł mnie uwolnić od tej sromotnej kary, a nim był pułkownik Mowbray! Przyszedł do mojego więzienia, i w zamian za swoją litość zażądał, abym kraj ojczysty porzucił i do Indyi popłynął, zabierając z sobą dziecię, które miało nosić moje nazwisko i za moje własne uchodzić...

W tej chwili wszyscy spojrzeli na lady Mowbray i Henryka, który strasznem miotany był wzruszeniem.

— Z radością przystałem na ten wniosek, — mówił dalej Filip Ashton, — a głównie dla tego, że mój dawny przyjaciel i towarzysz w armii, Musgrove, ojciec Miran-Hafaza, ożeniwszy się na kilka lat przedtem z księżniczką indyjską, był w możności wyrobienia mi korzystnego stanowiska, któreby mi utrzymanie i nabycie majątku ułatwić mogło...

— To dziecię było moje! — zawołała lady Mowbray.

— Serce twoje, milady, odgadło moją tajemnicę! Jeszcze chwilkę cierpliwości a ziszczą się nadzieje twoje!... Szatan, który mnie skłonił do opuszczenia ojczyzny, kazał mi przysiądz, pod najstraszniejszem zaklęciem, abym za jego życia nie wspomniał nikomu o tej tajemnicy! Na dwa dni przed odpłynięciem okrętu, który mnie miał zabrać do obcej ziemi, spotkałem się z człowiekiem, który przywiózł dziecię z Włoch do Anglii. Od niego dowiedziałem się, że dziecię to było bratankiem pułkownika, synem jego brata, baroneta, i dziedzicem Carrowa. Cóż mi począć wypadało? Przysięga, którą zgwałcić nie śmiałem, wiązała mi usta; prócz tego byłem na łasce pułkownika, który zamiast przebaczenia mi wyjednać, co dlań trudnem nie było, ułatwił mi tylko ucieczkę z więzienia. Postanowiłem jednak nie narażać dziecięcia na trudy żeglugi i na przygody życia tułaczego, jakie mnie czekało. Zaniosłem je więc do Carrowa, na folwark Home-Farm, gdzie mój brat gospodarował; wspomniałem mu w krótkich i niejasnych słowach o mniemanem małżeństwie, o śmierci mojej żony i konieczności spiesznego odjazdu z kraju; uwierzył mi i przyjął w opiekę chłopczynę, aby go do pracy wychowywać...

Lady Mowbray krzyknęła, wyciągając ręce ku naszemu bohaterowi.

— Matko! — zawołał młodzian.

— Synu! pójdź do tego zbolałego serca!

Długo trzymali się w serdecznym uścisku. Matka z nieokreśloną tkliwością przypatrywała się synowi; odgarnęła jego krucze kędziory, spadające mu na ramiona, i macierzyński pocałunek złożyła na pięknem czole swego dziecięcia; potem tracąc siły pod natłokiem gwałtownych uczuć i wstrząśnień od nocy nieustannie doznawanych, padła zemdlona na ręce tych, co ją otaczali.

Sir William Mowbray — takie bowiem było prawdziwe nazwisko i tytuł naszego bohatera, — na klęczkach pragnął uczcić swoją matkę, która od tylu lat tęskniła za jedynakiem, by go otoczyć troskliwością i miłością bez granic.

— Matko moja najdroższa! — wołał całując ją po rękach i nogach, — otwórz oczy i błogosław, twemu synowi; spojrzeniem twojem mu błogosław, a będzie uszczęśliwiony!...

Te tkliwe wyrazy, ten głos serdeczny, obudziły biedną matkę z omdlenia; szepnęła imię Williama, które było także imieniem nieboszczyka ojca jego. W tej chwili szczęście całego życia tej kobiety, która tyle gorzkich lat przeżyła w tęsknocie za mężem i synem, wezbrało się w sercu, — tak długo samym smutkiem trawionem.

Stary Marcin, patrząc i słuchając z zajęciem, cichą modlitwą dziękował Bogu, że dożył tej radosnej chwili. Teraz mógł już wypełnić zlecenie swego zmarłego pana.

Prawie każdy z obecnych miał łzy w oczach. Rektor ukląkł dla podziękowania Bogu za ten dowód łaskawej Opatrzności; Joe z trudnością tłumił w sobie łkania, które go dławiły; mistress Ashton i jej małżonek siedzieli w milczeniu, kołysani radością i bólem na przemian, gdyż oni stracili syna!

— Gdyby mój biedny wuj mógł to widzieć! — pomyślała Ellena. Jakaż by to była radość dla niego!

Księżna Devonshire najpierwsza ochłonęła ze wzruszenia. Zaczęła nalegać, aby lady Mowbray udała się natychmiast do swoich pokojów, bo ciało jej upadało pod brzemieniem doznanych wstrząśnien.

William nie chciał przyzwolić, aby kto inny, jak on, odprowadził matkę do jej sypialni.

— Elleno, droga kuzynko, — szepnął wychodząc z pokoju lady Mowbray, — po radości, jakiej doznałem, znalazłszy moją matkę, największem szczęściem, w mojem przekonaniu, jest to, że nie będziesz potrzebowała wstydzić się twojego wyboru w oczach świata!

— O bądź pewnym, odparła dziewica, — że sir William nie może mi być droższym od Henryka Ashton!

Gdy damy i nasz bohater wyszli z biblioteki, zaczęto jednogłośnie chwalić postępowanie Khana, który dodał jeszcze do swego opowiadania, że po powrocie do Anglii, udało mu się odszukać owego człowieka, który przywiózł z Włoch małego spadkobiercę sir Williama Mowbray.

— A to bardzo pomyślna okoliczność, bo ułatwi nam przywrócenie praw należnych naszemu młodemu przyjacielowi, — wtrącił pułkownik Butler. — Ale na nieszczęście sądy będą więcej wymagały... zażądają nowych dowodów, zwłaszcza, że tu chodzi o tak ogromne dziedzictwo.

— Ja i mistress Page jesteśmy ważnym do-

wodem, — przemówiła sędziwa ochmistrzyni.

— Pani? a to jakim sposobem? — zapytał rektor z zadziwieniem.

— Mistress Page i ja byłyśmy przy narodzeniu syna zmarłego sir Williama. Doktor Martineau, czuwający wówczas przy lady Mowbray, pokazał nam osobliwsze znamię na piersiach dziecięcia, po lewej stronie!...

— Jakież to znamię?

— Czy nie było coś nakształt poziomkowego listka? — spytała skwapliwie mistress Ashton.

— Istotnie był to liść poziomki, tak piękny, jakby go kto wymalował! — odpowiedziała mistress Jarmy.

— W takim razie nie trudno będzie przekonać się o prawdzie słów pani, — rzekła dzierżawczyni drżącym głosem, — bo Harry... niestety! — przerwała zalewając się łzami, — już go tak nie mogę nazywać!... bo sir William ma to znamię na lewej piersi. Widziałam je tysiące razy, gdy był dzieckiem.

— Czego płaczesz, żono? — przemówił jej mąż, — raczej cieszyć się powinnaś.

— Cieszyć się... mamyż się cieszyć po utracie syna? na cóż się przyda teraz nasza praca i oszczędność? Harry... chciałam powiedzieć sir William, nie będzie potrzebował naszego mienia!... zapomni o nas... zostawi nas osieroconych w skromnym dworku.

— Mylisz się pani, — przerwał Joe Beans ze łkaniem, — jejmość wiesz dobrze, że to być nie może! Master Harry, — nie mogę odwyknąć od nazywania go po dawnemu, — nie zapomniałby o małej psinie, którą raz polubił. Jestem pewny, że nie przeszedłby nigdy koło mnie bez uśmiechu życzliwego i przyjaznego słowa, chociaż został teraz panem wspaniałego zamku: a jakżeby mógł zapomnieć o tych, co go wychowali i kochali jak własne dziecko?

— Gdyby do tego był zdolnym, — dodał rektor, — nie mniej bym nim gardził, jak go dotychczas kochałem.

Nie masz nic tak drażliwego, jak miłość o swoje prawa; mistress Ashton nie chciała się dać przekonać żadnemi słowy, bo te nie z ust jej ulubieńca pochodziły. Chciała niezwłocznie odjechać do domu, i właśnie przechodziła z mężem przez wielką salę, gdy się ukazał William, wracający z pokoju swej matki.

— Macieju, pokłoń się! — szepnęła cicho, — idzie... idzie...

Nie mogła wyrzec, sir William, i głośnym wybuchnęła płaczem. Nikt jej nie znał tak dobrze, jak wychowanek. To też zgadł zaraz, co się w jej biednem sercu działo; rzucił się jej na szyję, uścisnął czule i zaczął całować po zmarszczonych jagodach z dawną synowską poufałością.

— No, uspokójże się moja poczciwa stryjenko, przecież nie zechcesz martwić twego dziecka, dając mu do poznania, że bolejesz nad jego szczęściem. Mowbray, czy Ashton, wszystko jedno dla nas! Ja cię równo kochać będę. Po matce mojej będziesz zawsze pierwsze zajmowała miejsce w mem sercu.

Jeżeli nie wspomniał o Ellenie, to zapewne, dla tego, że miłość, jaką czuł dla niej, wcale inną była i nad wszelką miłością górowała.

— Moje drogie dziecię! — przemówił w tej chwili nadchodząc z biblioteki doktor Orine, — stary Marcin pragnie usilnie widzieć się z tobą. Lekarze twierdzą, że mu już nie wiele godzin życia pozostaje. A ma jeszcze dopełnić ważnego obowiązku przed zgonem...

— Obowiązek, jaki? — zapytał William zdziwiony.

— Zlecenie, jakie mu zostawił twój ojciec dla ciebie...

— Ach, idę zaraz!... Słyszycie, — odezwał się do Macieja i jego żony, — byłoby to świętokradztwem, gdybym natychmiast nie usłuchał tego wezwania.

I poszedł za rektorem do biblioteki.

W chwilę potem Joe Beans spotkał dzierżawcę w wielkiej sali; Maciej Ashton zapytał go, czy także opuszcza Opactwo?

— Muszę pójść odwiedzić biednego Ralfa, — odrzekł Joe, — pewny jestem, że malec ma się za zgubionego. Trzymają go pod strażą.

— Pod strażą? Biedny chłopczyna! a to za co?

— Alboż nie wiecie, iż on śmiertelnie postrzelił pułkownika? Szkoda, że go nie ranił wprzód, nim ten łotr strzelił do starego Marcina!

Maciej i żona jego srodze byli oburzeni, słysząc, że pastuszka za to uwięziono, że zranił nikczemnego zbrodniarza; dzierżawca oświadczył, że chętnie poręczy za chłopca sumą tysiąca funtów szterlingów, byleby mu wolność wrócono.

— Nawet dwa tysiące, Macieju! dodała żo-

na. — Powiedz im to Joe, powiedz im to odemnie... Otóż to sprawiedliwość!... zaprawdę sprawiedliwość osobliwsza!...

Joe przyrzekł powiedzieć Ralfowi o dobrych chęciach jego chlebodawców, i poszedł pocieszyć małego aresztanta, którego zastał w izbie piwniczego, pogrążonego w strapieniu; przy nim czuwali na straży konsztabl i ajent policyjny z Norwich.

— Ach, to ty, panie Beans! — zawołał biedny pastuszek, — przecie zaglądnąłeś do mnie!... Tegom się wcale nie spodziewał, popatrz!... — i pokazał mu kajdanki, w które mu ręce okuto.

— Nie bój się, to nie na długo, uwolnią cię wkrótce! — rzekł mu jego opiekun.

— Aha, prawda... tak samo mówił Sideler, gdy go schwytano i okuto w Cromwell-House, a przecież go powieszono!

— Ależ ciebie nie powieszą, nie potrzebujesz się lękać!

— Alboż ja wiem co myśleć?... dziwnie to jakoś na tym świecie!.. Ale mniejsza o to; on zabił biednego starowinę, i gdybym jeszcze raz był w podobnym wypadku, zrobiłbym tak samo... On byłby może i ciebie zabił, panie Beans, gdybym w czas nie był do niego strzelił.

Ten dowód przywiązania rozczulił Joego, a Zuzia znadująca się w izbie, słysząc te słowa, tak była wzruszona, że ucałowała rudego „potworka," jak go zazwyczaj nazywała.

Nadszedł pułkownik Butler i kazał zdjąć kajdanki chłopczynie, zapewniając go, że tylko parę dni posiedzi w kozie, dopóki nie rozpocznie się śledztwo sądowe. A nawet — dodał, — aresztowania możnaby uniknąć, gdyby kto za ciebie zechciał zaręczyć. — Wtedy Joe przypomniał sobie propozycyę dzierżawcy, i natychmiast wypuszczono Ralfa na wolność.

L.

Wróciwszy do biblioteki, nasz bohater zbliżył się do krzesła starego Marcina, którego oblicze było już okryte śmiertelną bladością; tylko oczy starca zajaśniały jeszcze radością na widok swego młodego pana.

— Oto dziedzic mojego nieboszczyka pana! — zawołał; — ale pan nie posiadasz ani dokumentów, zabezpieczających prawa do rozległych włości, ani klejnotów, ani sreber dziedzicznych, od dawien dawna będących własnością rodziny Mowbray...

— To wszystko gdzieś zatracone, — rzekł pan Elworthy, który niedawno przybył i stał przy konającym masztalerzu.

— Tak myślą domownicy, ale się mylą, — przemówił z uśmiechem starowina. — Marcin ma wszystko w swoim ręku: pargaminy, dyamenty, złoto i srebro, wszystko, wszystko! Sir William nie oddał tych skarbów ani swemu notaryuszowi, ani rektorowi, ale powierzył straży... wiernego, jak stróż domowy, jak pies przywiązany... starego Marcina, masztalerza biednego.. niezdatnego już do służby... ale umiejącego pilnować czujnie skarbów, powierzonych jego wierności!... Nic tam nie brakuje, — dodał, chwytając rękę dziedzica, — wszystko jest, wszystko nienaruszone, nietknięte, żadna pieczęć nie została nadwerężona.

Wysilenie, z jakiem mówił chory, tak go osłabiło, że opadł na poduszki, wyścielające wysoką poręcz krzesła, i zdawał się być martwym. Ale Khan, kazawszy podać szklankę wody, nalał w nią kilkanaście kropel jakiegoś płynu z małej flaszeczki, co nadało wodzie barwę opalu, i zbliżył szklankę do ust starca. Sama woń ocuciła konającego, a gdy się napił, zaczął przychodzić do sił i głęboko odetchnął.

— Teraz czuję się silniejszym, — przemówił pewnym głosem. — Jakże to długo potrwa?

— Może godzinę, — odpowiedział Khan, — ale potem...

— Rozumiem, — przerwał umierający, — dobrze! Skoro oddam depozyt, powierzony mej straży, nie będę się lękał zgonu... śmiało pójdę zobaczyć się z mojem dobrym panem!... Niechże teraz wszyscy wyjdą ztąd, tylko sir William Mowbray ze mną zostanie...

Łatwo pojąć, że niezwłocznie zastosowano się do jego żądania.

— Niech pan drzwi zasunie, aby nam nikt nie przeszkodził, — mówił dalej stary sługa.

Następnie wyjmując z zanadrza mały kluczyk od drzwi tajemnego pokoju podziemnego, podał go młodzieńcowi z objaśnieniem, jak go ma użyć.

— Zejdź pan na dół, tam w sklepieniu wszystko znajdziesz: Dokumenta, bez których nikczemny stryj twój nie mógłby był sprzedać ani obciążyć długami choćby jednej piędzi ziemi, dyamenty, srebra stołowe, słowem wszystko!...

— Ależ ja ciebie nie mogę opuścić w tej chwili, mój dobry Marcinie!

— Muszę zobaczyć dokumenta, pargaminy, muszę je widzieć w twem ręku nim skonam, bo przyrzekłem oddać tylko tobie! Synu mego ukochanego pana, wysłuchaj ostatniej prośby starego Marcina!...

Drżącą ręką William wetknął kluczyk w zameczek zręcznie ukryty pomiędzy rzeźbami dębowej ściany, ale nie mógł go obrócić.

— W lewo... pociśnij mocno! — zawołał Marcin, ścigając wzrokiem wszystkie poruszenia młodego baroneta.

Nareszcie drzwi odskoczyły, ukazując wejście do małego przysionka.

— Koperta, zawierająca list którego nikt, prócz syna mego nieboszczyka pana, nie powinien czytać, znajduje się na wieczku szkatułki, — mówił znowu starzec; — weź ten list, abym go zobaczył!

Nasz bohater zszedł po schodach, prowadzących do sklepionej izby. Choć gorąco pragnął przeczytać ostatnie słowa, ręką ojca skreślone, pokonał jednak chęć swoją, by coprędzej wrócić do wiernego sługi.

Płyn wzmacniający, który Filip Ashton dał wypić choremu, tracił już swą działalność, a życie zaczynało uchodzić.

— Marcinie, rzekł młody dziedzic, chwytając go za rękę, — czy mogę okazać ci moją wdzięczność? nie masz jakiego żądania?

— Owszem, pragnę jednej rzeczy, gorąco jej pragnę!

— Mów, co takiego?

— Każ mnie pogrzebać naprzeciw grobu rodziny Mowbrayów, abym spoczywał blizko mojego pana.

Będziesz pochowany w grobowem sklepieniu, między członkami rodziny, której służyłeś długo i z takiem przywiązaniem.

— Nie, nie... obok... u wejścia... jak wierny stróż swoich panów!... przy drzwiach ich grobu!... Czyś pan pewny, że skrzyneczka nienaruszona?

— Najzupełniej... oglądałem ją...

— I nie zapomnisz, gdzie jest wejście do ukrytego podziemia? pamiętaj pan.... że potrzeba... obrócić kluczyk... w lewo...

Po trudności, z jaką wymówił ostatnie wyrazy, łatwo było poznać, że już był blizkim zgonu. Sir William poszedł otworzyć drzwi biblioteki, i wezwał rektora, by wszedł dla spełnienia obowiązków swego kapłańskiego urzędu.

Doktor Orine z gorliwą i serdeczną pobożnością zaczął odmawiać modlitwy za konających. Staruszek słuchał z świątobliwą radością, otwierając oczy od chwili do chwili, aby jeszcze spojrzeć na syna dawnego swego chlebodawcy. Przy końcu modlitw chciał podnieść głowę opadłą na poduszki, ale zabrakło mu siły.

Rektor i młody baronet pospieszyli z pomocą.

— Niech cię Bóg błogosławi! — szepnął konający, — nie zapomnisz pan o mnie?

— Nigdy, nigdy! mój poczciwy starcze!

Słaby uśmiech błąkał się jeszcze po zbladłych ustach Marcina.

— Jak się zowie ta roślina?... pan wiesz, ten krzew niezgrabny i kolcami najeżony, co tylko raz w sto lat zakwita, o którym mówiliśmy z sobą?

— Aloes, Marcinie, to aloes! — odpowiedział sir William, nie mogąc się od łez wstrzymać.

— Ach, tak!... przypominam sobie... Mówiłem panu, że w końcu zakwitnie!... Stary Marcin spłacił dług wdzięczności... teraz może śmiało pójść do swego pana, z radosnym uśmiechem na ustach, by mu oznajmić, że się uiścił z polecenia!...

To były ostatnie jego słowa. Opuścił głowę na poręcz krzesła, i skonał, wlepiwszy wzrok w dziedzica Mowbrayów.

Baronet przymknął mu powieki; spełniwszy ten obowiązek tkliwości względem sługi, wyszedł za rektorem z biblioteki.

Zamknąwszy się w swoim pokoju, wziął się do odczytania ostatnich wyrazów swego ojca. Zawierały one wynurzenia szlachetnego serca, skołatanego boleścią i tęsknotą; były tam także polecenia, aby nieznany mu syn naśladował zalety i cnoty Henryka Ashton i aby się starał pozyskać jego przyjaźń.

Nazajutrz rano zebrał się sąd przy zwłokach pułkownika Mowbray i Marcina. Wyrok sądu przysięgłych brzmiał: „Mężobójstwo usprawiedliwione na pierwszych, a skrytobójstwo dokonane na osobie drugiego." Tak więc gdyby pułkownik Mowbray uniknął był śmierci z ręki Red-Ralfa, byłby odpowiedział przed sądem za morderstwo starego sługi,

Mały potworek nie posiadał się z radości,

gdy go uznano wolnym od winy i kary; skakał jak opętany i wszystkich ściskał za rękę. Odesłano go do Home-Farm, a baronet przyrzekł zająć się jego losem.

Pułkownika pogrzebano o północy w kącie cmentarza; żaden kamień nie zdobi jego mogiły. Natomiast starego Marcina pochowano w grobie familijnym, bo swoją wiernością zasłużył na to zaszczytne umieszczenie pośród rodziny, w służbie której tak długo zostawał, opłacając w końcu życiem swoją gorliwość.

Lady Mowbray uszczęśliwiona znalezieniem swojego dziecka, odzyskała siły i zdrowie. Gdy na syna patrzyła, zapadłe jej lica odzyskiwały ślady dawnej piękności, jaką za młodych lat słynęła.

Chociaż nie było krewnych, mogących sir Williamowi zaprzeczyć spadku po przodkach, życzliwi doradzcy jego uznali jednak za rzecz stosowną i ostrożność pożyteczną, aby publicznie uznania swych praw się domagał, i w tym celu wydano pozew do wykonawców testamentu, aby ich skłonić do zrzeczenia się swego urzędowania. Naturalnie była to tylko formalność prawna i umówiona za wspólnem porozumieniem, ale dla jej załatwienia należało udać się do Londynu.

— To nasza ostatnia próba, — rzekł sir William do Elleny, wsadzając ją do powozu, którym do Londynu wyjeżdżali. — Wróciwszy do Carrowa, uzupełnimy nasze szczęście, które niedawno zdawało się nam niepodobne do spełnienia.

Na tę aluzyę do blizkiego ślubu, rumieniec oblał śliczną twarz sieroty, która spuściła oczy pod namiętnem spojrzeniem narzeczonego.

Dla uniknienia wszelkich objawów sympatyi ze strony ludności wiejskiej, i zgiełku, mogącego rozdraźnić niezatarte jeszcze wspomnienia doznanych cierpień w sercu jego matki, sir William nakazał aby nie rozgłaszano, o której godzinie wyjadą z Carrowa; mimo to, niewiadomo jakim sposobem, rozeszła się wieść o wyjeździe, i zaledwo powóz wtoczył się na drogę, wiodącą wśród pastwiska do gminy należącego, gdy dokoła zabrzmiały okrzyki radości i współczucia. Red-Ralf znajdował się na czele gromady wieśniaków, którzy dla powitania małżonki swego zmarłego pana i młodego dziedzica zebrali się na błoniu.

— Szatan opętał tego smarkacza! — zawołał Joe Beans gniewny, że się sprzeciwiono życzeniom jego pana. — On myśli tylko o figlach złośliwych.

— Nie zawsze złośliwe, mój dobry Joe, — rzekła Zuzanna łagodnie. — Zresztą, on taki przywiązany i wdzięczny!...

— Bywaj zdrów, panie Beans! — wołał Ralf, — do miłego widzenia, a jeżeli przypadkiem będziesz w Mortlake, kłaniaj się odemnie szczurom w Cromwell-House!

Trudno było gniewać się na małego trzpiota; Joe pożegnał go skinieniem w chwili, gdy powóz mijał obszar gromadzki.

. . . .

Cóż mamy dodać do ukończenia naszej powieści? .. Że prawa naszego bohatera do spadku po Mowbrayach w zupełności uznane zostały? — o tem żaden z naszych czytelników powątpiewać nie będzie. Pominiemy również opis ślubu sir Williama z Elleną de Vere i Jojego Beans z Zuzanną. Doktor Orine pobłogosławił w jednym dniu oba te małżeństwa w kościołku Carrowa.

Maciej Ashton i jego żona odstąpili folwark Home-Farm poczciwemu Joemu, ponieważ ten, którego przez tyle lat za syna uważali, chciał ich mieć przy sobie w Opactwie.

Owdowiała lady Mowbray przyszła powoli do zdrowia i długo jeszcze żyła, pieszcząc na swojem łonie dzieci Elleny i syna swego.

Joe zatrzymał Red-Ralfa przy sobie; wykierował go na pracowitego rolnika, i później ożenił z córką kmiecia w sąsiedztwie, dziewczyną młodą i przystojną, która ku wielkiemu zadziwieniu Zuzanny, zakochała się na zabój w rudowłosym Ralfie.

Filip Ashton, w dniu poprzedzającym wyjazd Williama z Londynu do Carrowa, kazał powiedzieć baronetowi, że się z nim widzieć pragnie. Baronet wyszedł natychmiast do gabinetu, gdzie zastał Khana w stroju podróżnym; powóz pocztowy czekał przed domem.

— Cóż to? — zapytał nasz bohater, — pan chcesz nas porzucić?

— Muszę! — odpowiedział starzec smutnie, — jadę do Indyi.

— Do Indyi? — powtórzył młody baronet z wyrazem zdziwienia i żalu.

— Tak jest. Spłaciłem dług honoru i sprawiedliwości. Zostaje mi jeszcze do spłacenia dług wdzięczności i przyjaźni. Trzeba, aby matka nieszczęśliwego Miran-Hafaza dowiedziała

się z ust moich, że utraciła jedynaka, że syn jej nie żyje! Jej mąż był moim przyjacielem, moim dobroczyńcą. Potrzebaż więcej powiedzieć?... A my rozstajemyż się w zgodzie?...

— W zgodzie! powiedz raczej w najszczerszej przyjaźni! — zawołał młodzieniec, podając mu rękę. — Pośród okoliczności, w jakie cię los rzucił, niejeden byłby raczej dbał o własne korzyści i bezpieczeństwo, niż o zasady sprawiedliwości i prawdy. Bądź pan pewny, że zawsze będę wspominał pana, jako najlepszego mego przyjaciela.

— Dzięki ci, dzięki, zacny młodzieńcze! — rzekł Khan wzruszony do głębi serca.

— Mogęż co uczynić dla przekonania cię o moim szacunku, o mej wdzięczności?

— Nie, nie! jestem majętny... zbyt nawet bogaty!... Nie sądź, że zamiar opuszczenia Anglii powziąłem bez namysłu, lub wskutek niechęci i niewdzięczności za okazywane mi współczucie i życzliwość. Brat mój wie i pochwala powody, które mnie do odjazdu zniewalają. A teraz, żegnam cię! Bądź szczęśliwy, jak na to zasługujesz! nie mogę ci życzyć lepszej nagrody!...

Przycisnął do ust rękę baroneta, trzymał ją długo w swej dłoni, i spiesznie opuścił komnatę. Nim młodzian ochłonął z doznanego wrażenia, czwórka żwawych rumaków uniosła pędem pojazd pocztowy.

Ani Maciej Ashton, ani sir William nie słyszeli już nigdy o Filipie.

A teraz, szanowny czytelniku, spełniliśmy nasze zadanie. Pragniemy, abyś nam nie zarzucił, żeśmy nadużyli twojej cierpliwości i współczucia.

(Koniec.)

GAWĘDZIARZ.

ŻYTEK CZAROWNIK.

(Dokończenie.)

Jak się Żytek zwykł mścić, okazuje się z następującego przykładu: Popisywał on się jednego razu przed dworem królewskim i niezliczonym mnóztwem widzów rozmaitemi sztuczkami. Przybierał tę lub owę postać, raz okropną, raz śmieszną, jeździł w łupinie orzechowej przez dwóch chrabąszczy ciągnionej i tym podobne przedstawiał rzeczy. Wreszcie zaprzągł koguta do grubej i długiej belki, przed królewskim pałacem leżącej, którą bodaj dziesięciu silnych chłopów byłoby podniosło. Kogut głowę do góry zadarłszy, pobiegł z belką jak z niczem. Wzbudzało to podziw powszechny gdy pomiędzy widzami odezwał się głos niewieści:

— Alboż to kogut ciągnie belkę? Czyż wy nie widzicie, że to tylko słomka? — Widzowie oglądają się za mówiącą i widzą dziewkę mającą kosz napełniony sianem na plecach, ujmującą się pod boki i wyśmiewającą ich, że się dali kuglarzowi omamić. W samej zaś rzeczy Żytek przez złudzenie tylko zmysłów sztuki swe działał. To co wszystkim ciężką belką być się zdawało, było istotnie słomką, która tylko owej dziewce w właściwym kształcie się przedstawiała, a to z tej przyczyny, że w koszu pomiędzy trawą miała czworokątną koniczynę, która, jak każdy wie, osobliwą ma moc przeciwko czarodziejstwu.

To gniewało Żytka. Postanowił przeto owę dziewkę za jej śmiałość ukarać.

— Bądź ostrożną, dziewczyno, — zawołał, — żeby ci się co złego nie przytrafiło!

Na tem kuglarstwo się skończyło. Widzowie się porozchodzili i dziewka też poszła ku domowi.

W tem zdaje jej się, że idzie przez wodę, która jej sięga do kostek, a potem do kolan. Krzyknąwszy i podkasawszy suknię, ubawiła tych, którzy zdarzenia tego byli świadkami, bo

wody tam nie było, lecz podobne złudzenie zmysłów, jak z belką. Dziewka suchą szła drogą.

Jednego razu król bawił się w towarzystwie, do którego i Żytek należał. Rozweselony bardzo, zażądał król, żeby ich czem zabawił, co Żytek przyobiecawszy, żadnych przecież przygotowań do tego nie czynił, lecz brał udział w rozmowie. W tem powstał ogromny hałas na dworze i z wrzawy rozmaitych głosów usłyszano słowa:

— Gore! bijcie! nie oszczędzajcie! — Towarzysze króla zrywają się i spieszą do okien, chcąc wiedzieć co się dzieje. Król tylko znając swego błazna i jego sprawki, pozostał na miejscu, czekając, co dalej będzie. Gdy goście królewscy głowy oknami powytykali, uciszyło się; żywej duszy nie było widać na podwórzu: chcieli przeto głowy napowrót powciągać, lecz niestety, każdemu przyrosły dwa ogromne jelenie rogi nie dozwalające odwrotu. Widząc to król, uśmiał się serdecznie i ubawił się dziwnemi grymasami swych gości w łapkę pochwytanych, którzy mimo wszelkich wysileń z zabawnego położenia swego uwolnić się nie mogli. Naśmiawszy się król do woli, dał znak Żytkowi wybawienia ich.

Nie będąc prostym tylko błaznem królewskim, Żytek ważne królowi czasem zdolnościami swemi czynił przysługi, za co król był mu wdzięczny i lubił go, czego dowodem następujący przykład.

Przed laty król był powierzył niektórym panom czeskim dobra koronne w zastaw, których teraz, gdy je chciał wykupić, oddać nie chcieli. Król mocno się tem rozgniewał, lecz oni nie zważając na gniew królewski, zatrzymywali dobra i opierali się królewskiej władzy. W tym trudnym razie udzielił Żytek królowi rady, której tenże usłuchał. Nie wspominając długi czas o wykupieniu zastawionych dóbr, wzbudził król mniemanie, że sprawę tę puścił w niepamięć; posiedziciele przeto owych dóbr, którzy od króla stronili, zjawiali się znowu na dworze królewskim. Jednego dnia zaprosił ich na ucztę przyjacielską, na którą oni, niczego się nie obawiając, przybyli. W czasie wesołej biesiady, na której i Żytek się znajdował, otwarły się nagle na znak przez króla dany podwoje, a oczom struchlałych gości ukazał się w sukni szkarłatnej kat królewski, z mieczem dobytym jak do stracenia. Goście krzyknęli: Zdrada! zrywają się i mieczy swych dobywają, lecz z przerażeniem największem przekonywują się, że żaden ani z miejsca ruszyć się, ani miecza wydobyć nie może! Niech sobie każdy wystawi położenie tych nieboraków, wijących się w strachu śmiertelnym i mocujących się daremnie z rękojeściami swych oręży. Na skinienie króla zjawił się pisarz jego i przed każdym z zaczarowanych panów położył pismo, kwitujące z sumy za zastawione dobra.

— Podpisz, panie Janie, i oddaj mi mój zamek, rzekł król do jednego.

— Podpiszcie, panie Beneszu i panie Plichto — do innych — i wiedzcie, że cudzej własności zabierać nie wolno. Póki nie podpiszecie, póty nie ruszycie się z miejsca, a upartych kat poskromi.

Nie mając innego wyboru, podpisali panowie, poczem król kazał im odejść w pokoju. Takim to sposobem łatwym odebrał król dobra swoje; lecz odtąd panowie nienawidzili go i tak się rozzuchwalili, że go nawet dwa razy pojmali i w więzieniu osadzili.

Jednego dnia Żytek idąc przez pole, przyszedł do posieczonej łąki bogatego piekarza Mikicza, znanego ze sknerstwa, na której siano leżało w kupki zgrabione, i wzięła go chęć spłatania figla. Poprzemieniał przeto wszystkie kupki, których było trzydzieści, w świnie, które przez blizkie miasteczko gnał wedle domu piekarza. Mikicz stojący w bramie, gdy ujrzał tłuste świnie, zapytał, czy są na sprzedaż. Żytek sprzedał mu je, a Mikicz kupiwszy tanio, wyliczył mu z radością umówioną sumę. Przy pożegnaniu upominał go Żytek, iżby świń nie pławił, a na siano swe miał baczenie. Mikicz, nie zważając na to, pognał świnie tego samego dnia jeszcze do rzeczki wedle miasteczka płynącej, a tu niestety świnie przemieniły się znowu w to, czem dawniej były, a siano Mikicza woda unosiła. Łatwo sobie wystawić można oburzenie i wściekłość starego sknery, widzącego się pozbawionym pieniędzy i siana, o którym mu doniesiono, że z łąki znikło. Starając się o odzyskanie pieniędzy, przepytywał się po miasteczku, czy kto nie widział zaganiacza świń; wskazano mu przeto szynkownią, gdzie znalazł Żytka śpiącego na ławie. Mikicz chcąc go obudzić, uchwycił go za nogę, lecz jakież było jego przelęknienie, gdy noga urwawszy się,

w ręku mu pozostała. Żytek się zerwał ze straszliwym krzykiem i posłał po sędziego, który Mikicza wysłuchawszy, na znaczną karę pieniężną skazał. Żytek nogę sobie przyprawił i poszedł zdrowy. Mikicz tylko wstyd poniósł i szkodę a od czasu tego mówi się o człowieku, który na kupnie źle wychodzi, że wyszedł jak Mikicz na świniach.

(Koniec.)

DWIE MARYE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW POLSKICH

PRZEZ

FR. XAW. TUCZYŃSKIEGO.

(Dokończenie)

Tymczasem Jan wyszedł z komnaty z twarzą jaśniejącą; pytają go, on nic nie mówi, siadł na koń i razem z posłańcem zniknęli.

Za chwilę Skirmunt wybiegł. Dworzanie patrzą nań zdziwieni... jestże to ten sam stary Skirmunt? czy odmłodniał? Twarz jego była promieniejąca, lubo że jednak jakiś odcień smutku odbijal się w jego oku. Zakrzyknął, aby mu konia podano... konia? czyż jeszcze raz włoży nogę w strzemię? wszak od tak dawna konia nie dosiadał!... Dziwi się służba, a Skirmunt każe im przywdziać najpiękniejsze szaty, i najhartowniejsze zbroje.

Skirmunt pobiegł do Zdzisława.

Po chwili ukazał się znowu. Dworzanie już byli tymczasem wystrojeni. Dwudziestu pięciu dorodnych młodzieńców w całkowitej zbroi dosiadło koni, a reszta stanęła w dwóch rzędach, po prawej i po lewej stronie bramy aż do progu zamku. W bramie stała lektyka, a przy niej śpiewacy i muzykańci z rozmaitemi instrumentami muzycznemi. Dwanaście dziewic w bieli z wieńcami na głowie stało przy lektyce. Co to wszystko znaczy? nikt nie wiedział.

Skirmunt na czele dwudziestu pięciu zbrojnych rycerzy wybiegł konno bramą i cała czereda pojechała cwałem tą samą drogą, którą niedawno Jan pojechał.

* * *

Po odjeździe z Trzciniaka, namyślał się Jerzy, czy zaraz jechać wprost do zamku, czy też wprzód dać wiadomość o swem przybyciu. Zgodził się wreszcie na drugie. Trzeciego dnia stanęli niedaleko Kostrzewa. Wieże zamku, oświecone blaskiem promieni słonecznych, widne były z daleka. Jerzy płakał jak dziecko.

Płakał jak dziecko bo myślą pobiegł o kilkadziesiąt lat w tył, przypomniał sobie swoje dziecinne lata. Tam, gdzie owe wieże w górę wystrzeliwają, tam on się wychował... Jerzy zeszedł z konia, padł na ziemię i ucałował ją serdecznie.

Zdziwiona Palmira nie mogła pojąć, co Jerzy czyni, zapytała się więc.

— Czy widzisz, Palmiro, te błyszczące wie-

że? — rzekł, — to twoja własność, a moja kolebka.

— Moja własność? jakim sposobem? ja tu jeszcze nie byłam.

— Nie byłaś tu jeszcze, to prawda, ale jednak tak jest, jak mówiłem. Oh! to straszna tajemnica.

— Tajemnica?

— Tajemnica, i to wielka.

— Czemuż mi jej nie powiesz?

— Powiem ci, powiem nawet dzisiaj.

Po tej rozmowie wysłał na Kostrzew posłańca ze stósownem zleceniem. Był to ten sam jeździec, któregośmy pod bramą Kostrzewa widzieli. Z bijącem sercem oczekiwał Jerzy powrotu posłańca; czas biegł mu tak wolno, że byłby niedługo liczył uderzenia pulsu.

Wreszcie ujrzał powracającego posłańca. Lecz któż mu to towarzyszy? Co to za jeden?

— Jan.

Rzucili się w objęcia i długo, długo tak się trzymali, a potem Jan rzucił się do nóg Palmirze.

— Witam cię, o pani, oczekiwaliśmy cię tak długo z takiem upragnieniem! O! witaj!

Palmira nie mogła tego pojąć.

Tymczasem Jan i Jerzy rozpoczęli rozmowę, wypytywania się i ponowne uściski. Rozmawiając, ruszyli z wolna ku zamkowi. W drodze powiedział Jan Jerzemu o Zdzisławie, o jego dawniejszem życiu.

Naraz rzekł Jan:

— Jerzy, zanim wstąpisz w progi Kostrzewa, muszę ci jedną tajemnicę wyjawić.

— Mnie?

— Tak, tobie, słuchaj.

Tu opowiedział mu historyę jego początku. Jerzy słuchał w milczeniu, potem płakał łzami radości.

— To jest moja tajemnica, kochany Jerzy, — dokończył Jan, — masz ojca, ten ojciec jeszcze żyje i oczekuje cię.

— Żyje mój ojciec? Jakim szczęśliwy, że mi Bóg pozwolił tej chwili dożyć! Boże! czem Ci się odwdzięczę za Twoje dobrodziejstwo? Jak Ci podziękuję za opiekę Twą nademną?

— Niech będzie Imię Jego błogosławione, — dorzucił Jan, schylając głowę.

Nagle ujrzeli przed sobą pędzących jeźdźców. Zbroje świeciły się od słońca, sute pióra u szyszaków powiewały z wiatrem.

Spotkali się.

— Jerzy!

— Skirmunt!

Powitanie było czułe; płakali, całowali się, jakby nie mogli się nasycić. Nareszcie rzekł Skirmunt, wyciągając rękę:

— Patrz!

Na palcu miał pierścień z literami *A. K.*

Jerzy wyciągnął także rękę i rzekł krótko:

— Porównaj!

Na pierścieniu Jerzego były litery *M. K.*

Znów się uściskali.

Jeźdźcy dobyli szabel i na znak hołdu zniżyli ostrza przed dziewicą, a potem cały orszak ruszył ku zamkowi.

Dojechali do bramy. Tam oczekiwała ich cała ludność zamkowa, nie mogąc odgadnąć znaczenia owej uroczystości. Orszak zatrzymał się przed bramą, Palmira i Jerzy zsiedli z koni — Palmira usiadła na rozkaz Jerzego w lektyce. Tu wystąpił Skirmunt i zawołał głośno do zgromadzonych:

— Czy wiecie, kto jest ta dziewica?

Nikt nie wiedział, więc milczenie.

— To jest Marya Kostrzewska, córka Adama Kostrzewskiego, — zakończył Skirmunt.

Okrzyk stu głosów rozległ się po zamkowym dziedzińcu.

— A ten jej towarzysz: to Jerzy!

Znów ten sam okrzyk. Nastąpiła chwila trudna do opisania. Jerzy i Zdzisław powitali się: ojciec z synem po raz pierwszy!

Palmira słyszała i widziała wszystko, ale nic z tego pojąć nie mogła. Sądziła, że marzy, że śni z otwartemi oczami. Ale jakże serce jej się rozpływało rzewnem, tkliwem uczuciem, gdy dziewice zaśpiewały pieśń: A witajże, witaj, miły hospodynie! Nie mogła dłużej łez zatrzymać... zapłakała.

Zaniesiono ją w lektyce na pokoje zamkowe, gdzie się wnet prawie cała zamkowa drużyna znalazła, aby jeszcze raz panią swą powitać. Po oddaleniu większej części dworzan, zaczął Jerzy:

— Palmiro! jesteś tu panią... to twoja własność.

— Już mi wiele razy wspominałeś o własności, więc czemuż nie powiesz, zkąd ta własność jest moją? — rzekła Palmira tonem wyrzutu.

— Tak, powiem, i to zaraz; słuchaj!

Tu w przytomności zgromadzonych osób opowiedział jej wszystko. Palmira nie mogła się powstrzymać, w głos płakała.

— Biedna matko! — zawołała, gdy Jerzy skończył, i czemuż pozostałaś w tym kraju, gdzie cię tyle nieszczęść spotkało? Czemuż nie przybyłaś ze mną tutaj?

— Miej nadzieję, kochane dziecię, że matka twa także tutaj przybędzie. Ale jeszcze jedno. Twoje imię „Palmira" jest nieprawdziwe: imię ci Marya!

— Tak jak matce? a to zkąd?

— Jesteś ochrzconą.

— Jam ochrzconą? niewierną? — zakrzyknęła, wpatrując się niedowierzająco w twarz Jerzego.

— Tak jest, Maryo! tyś jest ochrzconą i należysz do tej samej wielkiej rodziny chrześcian, do której ojciec twój należał i matka jeszcze należy.

— Tego ja ci nie wierzę, Jerzy. Matka wyznaje wszechmocnego Ałłacha i jest mu wierną.

— Nie, Maryo, matka twoja jest chrześcianką, wierną czcicielką Zbawiciela naszego, Jezusa Chrystusa.

— Nigdy nie poznawałam, ani mi matka nie powiadała, abym była chrześcianką.

— Bo basza jej to surowo zakazał.

— Ale ty?

— Ja to samo. Gdyby basza był wiedział, że cię ochrzciłem, byłby ciebie i mnie kazał zgładzić.

Marya wysłuchawszy cierpliwie Jerzego, upadła na kolana, i zawołała głosem prawie rozpaczliwym:

— Wielki Ałłachu! ty mnie nie karz, że bez mej woli i wiedzy uczyniono mnie chrześcianką, niewierną tobie. Ja cię wyznaję i wyznawać będę!

Tu przystąpił do niej kapłan zamkowy, a dotknąwszy się ręką jej ramion, rzekł głosem uroczystym:

— Dziewico! nie bluźnij Bogu odwiecznemu, nie wzywaj urojonego Ałłacha, lecz padnij na kolana i mów: „Jezu Chryste, ukrzyżowany za błędy i grzechy świata, przepuść, co w niewiadomości uczyniłam!" Bogu prawdziwemu podziękuj, że cię wyrwał z błędów pogańskich, a pozwolił duszy twej karmić się prawdziwą nauką wiary.

Marya ze drżeniem przysłuchiwała się owej przemowie. Serce jej mocno biło, bo słowa kapłana wywarły na niej silne wrażenie.

— Ktoś ty jest? — zapytała.

— Jam jest kapłan, sługa Ukrzyżowanego Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, prawdziwego Boga, w którym jest jedyne zbawienie. Niosę ci słowa pociechy i zbawienia. Córko! dziękuj Bogu Wszechmocnemu, którego ja ci głoszę, dziękuj Mu za twe ocalenie wieczne i doczesne. Padnij na kolana przed tym krucyfiksem z wizerunkiem Syna Bożego, padnij przed Stwórcą wszech rzeczy, powróć do wiary ojca i matki twojej. Ojciec twój stoi przed tronem Tego Ukrzyżowanego, patrzy z góry na ciebie. Chcesz zasmucać twego dobrego ojca?

— Nie, nie, nie chcę. Nie znałam mego ojca, a jednak jakże go kocham. Ja miałabym go zasmucać?

— Tyś jest dobrem dzieckiem, Maryo, — rzekł wzruszony kapłan, — i niebo odzyska w tobie zgubioną owieczkę.

To mówiąc, dał znak, drzwi do kaplicy otworzyły się... a... kapłan ująwszy Maryę za rękę, zaprowadził ją do stopni ołtarza. Dziewica machinalnie uklękła. Kapłan wskazał na ścianę. Tam wisiał wielki obraz, wystawiający Adama Kostrzewskiego i Maryą, trzymających się za rękę i klęczących przed wizerunkiem Ukrzyżowanego Jezusa Chrystusa.

Marya zakrzyknęła... i dusza jej w momencie wyparła się Ałłacha i jego proroka. Dostrzegł to kapłan i wnet hymn dziękczynny wzbił się aż do stóp Zbawcy świata.

Marya wróciła na łono Kościoła.

Dziś na zamku uroczystość, uroczystość podwójna, uroczystość powrotu Maryi na Kostrzew, i powrotu jej na łono Kościoła prawdziwego. Dla tego też Skirmunt wyprawił ucztę sutą, trwającą do późnej godziny.

Odtąd pędziła Marya życie ciche, niczem niezakłócone, jak tylko myślą o matce, żyjącej daleko za morzem, w kraju dzikim, pogańskim... i jeszcze o jakiejś osobie, której rysów nie mogła sobie już dobrze przypomnieć.

Lecz któż to? nikt inny, tylko ów dziwaczny młodzian, który od niej, jako od poganki uciekł. O gdyby teraz... wszakże ona już nie

poganką... Radaby o tem mówić z Jerzym, ale...

Kapłan zamkowy był dla niej nauczycielem, uczył ją polskiego pisania, oraz prawd wiary świętej. I tak schodziły jej dni jednostajnie w oczekiwaniu. — Kogoż ona oczekiwała? oczekiwała kochanej matki z za morza. O! gdyby tu matka była, jakżeby była szczęśliwą.

* * *

Trąbka na wieży zagrała. Któż to może być? Gość?... poseł?... Spuszczono most, bramę rozwarto. Most zatętniał od kopyt ognistego rumaka i zbrojny w stal okuty rycerz wjechał na dziedziniec. Miał zapuszczoną przyłbicę; wiatr lekki poruszał biało-czerwoną kitą u szyszaka, a zbroja szmelcowana połyskiwała w słońcu. Ogromny miecz wisiał mu u boku i za każdem poruszeniem rumaka grzmiał i brzęczał po stalowych nagoleniach rycerza. Koń w krótkich podskokach zbliżył się pod zamek i stanął.

Rycerz zsiadł z konia.

Marya siedząca właśnie w oknie, przypatrywała się z zadowoleniem i zaciekawieniem nieznajomemu rycerzowi. Nigdy bowiem nie widziała człowieka tak całkiem w żelazo zakutego. Na wschodzie rycerzy nie było, a krzyżowców nie widziała.

Lecz któż on?

Rycerz dostrzegł dziewicę, ukląkł na ganku, wyciągnął do niej ręce, podniósł przyłbicę... Marya zadrgnęła i usunęła się na krzesło, a serce jej gwałtownie uderzyło.

Stanisław.

Niezadługo dały się słyszeć w przedpokojach ciężkie stąpania i pobrzękiwanie miecza po posadzce. Drzwi się otworzyły i Stanisław stanął oko w oko z Maryą. Dziewczę pokryło się krwistym rumieńcem, jakby jej krew z twarzy potokiem trysnąć chciała. W jej oku, nieznającem obłudy i fałszu, malowała się wyraźnie radość i obawa. Chciała powstać, nie mogła... chciała coś mówić, głosu zabrakło. Piękna była w tej chwili... piękniejszą, niż kiedykolwiek; miała już bowiem na sobie strój polski.

Rycerz równie uderzony pięknością dziewicy, stanął przy drzwiach komnaty, nie śmiąc kroku postąpić dalej. Oczy wlepił w nią nieruchome i tak stał niemy, skamieniały, nie wiedząc, jak przemówić, ani jak się poruszyć. Wreszcie machinalnie zgiął kolano i wyrzekł drżącym głosem kilka słów przywitania. Marya odzyskawszy przytomność, powstała, ustroiła twarzyczkę miluchnym uśmiechem i rzekła:

— Witam, witam rycerzu! Cieszę się, że was widzę i to już jako chrześcianka, przecież już teraz nie ucieczesz odemnie, jak od potępionej poganki!

— Dziewico! Maryo! przebacz, co popełniłem przez nieuwagę! Wstydzę się mego postępku, który mnie w oczach twoich pewno poniża.

— O! nie rycerzu... zresztą nie mówmy o tem, co się stało. Ale rycerzu, nie godzi się przed słabem stworzeniem klękać! Powstań!

Stanisław powstał i zbliżył się ku dziewicy.

— Więc przebaczasz mi Maryo?

— Rycerzu, ja ci nie mam nic do przebaczenia, bo się na ciebie nie gniewałam. Owszem, cieszę się, że cię widzę.

— O Maryo! gdybyś wiedziała, jaka siła, jaki popęd pcha mnie do stóp twoich... gdybyś wiedziała jaki płomień, jaki ogień piecze mnie w sercu... Stawam przed tobą, aby raz jeszcze spojrzeć w twoje anielskie oblicze...

— Rycerzu, dziwna twoja mowa; ja jej zrozumieć nie mogę.

— Tyś niewinna dziewica, myśl żadna jeszcze twej duszy nie zamąciła. Więc mnie nie rozumiesz. Ja cię kocham. Maryo, ja bez ciebie żyć nie mogę.

Tu klęknąwszy, położył rękę na sercu, a oczy błagające zwrócił ku dziewicy.

— Maryo, ja cię kocham, bez ciebie żyć nie mogę. Jeden z rodziny wrogów twoich, potomek najsroższych nieprzyjaciół twoich, klęka przed tobą i błaga cię o rękę, Maryo!

Oczy jego wzrokiem wpiły się w duszę Maryi, w jej serce. Czuła wyraźnie, jak krew rozlewała się po jej ciele, czuła zawrót... i odwróciła swe oczy w inną stronę. Radaby pójść do młodzieńca, podać mu rękę, której pragnął, ale nie mogła powstać. Ciało jej było bezwładne, tylko duchem żyła. Słyszała co on mówił, a jednak dobrze nie zrozumiała. Słowa

jego odbiły się o jej uszy, zostawiły tylko jedno najsilniejsze echo w jej duszy: kocham!

Młodzian mówił dalej:

— Maryo! od pierwszego widzenia ciebie, obraz twój na zawsze utkwił mi w duszy. We dnie i w nocy myślę o tobie, żyję tylko tobą, oddycham tobą. We śnie i na jawie obraz twój przedemną stoi. Żadna, choćby najmocniejsza siła, nie zdoła obrazu twego z mej duszy zetrzeć...

Marya słucha... cóż on to mówi?... wszakże to jej własne myśli, wszakże ona też jego obraz tyle razy we śnie widziała, tyle o nim myślała, i tak chętnie pragnęła go widzieć...

Po chwili wahania szepnęła dziewica:

— Rycerzu, czy zgadłeś, czy też potrafisz w oku wyczytać, co się w sercu dzieje? To coś mówił, jest wyraźnym obrazem mego stanu duszy; myśli twoje są portretem trafionym mych własnych myśli. O! gdym była jeszcze na łonie mej kochanej matki, żadna chmurka nie zakłóciła mego szczęścia, a dziś... tęskność... zawszem kogoś jeszcze prócz matki wyglądała... myślałam o tobie... cieszę się z twego przybycia...

Dalej nie mogła mówić, potok łez gorących spłynął po jej licu i ulżył jej sercu. Młodzian odgadł natychmiast prawdziwy stan jej duszy, a uderzony nagle ogromem niespodziewanego szczęścia, nie mógł w momencie przyjść do siebie. Żelazem okuta pierś wznosiła się burzliwie, grożąc rozsadzeniem zbroi, a serce tak mocno biło, że słyszał je wyraźnie. Sam nie wiedząc co czyni, zerwał się z ziemi, doskoczył do Maryi, schwycił za rękę... ręka była drżąca... i szepnął prawie:

— Doznawałaś Maryo tego samego uczucia tęsknoty i miłości, co i ja?

— Doznawałam...

— Maryo! więc mnie kochasz?...

— Kocham... — szepnęła takim głosem, że tylko serce kochające mogło go dosłyszeć.

— I chcesz być moją? moją na wieki?

— Chcę... — dodała tym samym głosem.

Powstała, lecz ją natychmiast siły opuściły i pochyliła się w objęcia młodziana. Machinalnie splotły się ich ręce... usta spoiły się... świat pierzchnął... zapomnieli, że żyją.

O! święta miłości!

Kto nie doznał tego uczucia, gdy kochanka podała mu raz pierwszy różowe usteczka do pocałunku? Kto doznał, ten je pojmuje, a kto nie doznał, temu żadne pióro uczucia tego odmalować nie potrafi. O! ta chwila jest raz tylko w życiu, więcej się nie powtarza. Raz tylko można kochać miłością pierwszą, raz tylko tym uczuciem serce się napawa, jeśli jest czyste i nie skalane. Świat znika, dwie dusze zlewają się w jedno, powieki bezwładne opuszczają się na oko, aby duszy tchnącej niebiańską rozkoszą nie zabrudzić obrazem świata materyalnego. Ciało traci władzę, tylko serca biciem znak życia daje. O! ta chwila raz tylko w życiu... szczęśliwy! kogo ona jeszcze oczekuje!...

Jerzy, który na to wszedł do komnaty, przypatrywał im się niemo, nieruchomie. Przypomniał sobie młode lata. On też kochał, kochał całym zapałem młodzieńczego ducha. Odgłos trąbki wojennej powołał go do Kijowa, a gdy powrócił, już rosły lilie i jaśminy na grobie kochanki. Jerzy pozostał jej wiernym.

Łza mu się zakręciła; scena obecna odnowiła mu ranę... westchnął...

Marya wyrwała się wreszcie z objęć Stanisława i stanęła zapłoniona, a ujrzawszy Jerzego, rzuciła mu się na szyję.

— Nie mam ojca, ani matki, — tyś mi był ojcem i opiekunem, Jerzy! — zawołała wśród płaczu, — błogosław nas.

Stanisław i Marya uklękli przed starcem, a ten wzniósł dłonie ku niebu i błogosławił:

— Niechaj wszelka łaska Najwyższego Pana spłynie na was, drogie, kochane dzieci; niechaj Pan Bóg czuwa nad szczęściem waszem, abyście byli szczęśliwszymi od przodków waszych, którzy ogniem i mieczem godzili na siebie przez lat tyle. Wszechmocny Boże, polecam Ci te dwa młode szczepy, miej ich w Twej pieczy. Daj im wszelkie szczęście, zlej na nich obfite zdroje łaski Twej, spraw, aby w łasce Twojej i w szczęściu dożyli późnej starości...

— Amen, — powtórzyli klęczący, i ucałowali ręce starca.

Jerzy mówił dalej:

— Dziękuję Ci, o Boże, że mi pozwoliłeś oglądać chwilę, w której dwa te rody złączyłeś. Teraz puść, Panie, sługę Twego w pokoju, gdyż oglądałem chwilę upragnioną!...

Wszyscy troje byli bardzo rozczuleni i łzy płynęły im mimowolnie z oczu.

* * *

Było to w późnej jesieni. Dzień był piękny i jasny. Słońce rzucając swe promienie ukośnie, nie raziło upałem, a jednak ożywiało świat przyjemnem, miłem ciepłem. Na dziedzińcu Kostrzewa ruch, gwar, krzątanie się. Snadź jakaś uroczystość, bo ludzie odświętnie ubrani, a zamek wystrojony. Długie, w podkowę ustawione stoły na dziedzińcu, zastawione były suto potrawami i napojami; mnóztwo ludzi z widocznym apetytem sprzątało ze stołów stosy mięsa, a czary z napojami krążyły w około, nastrajając usposobienie każdego do wesołości.

To samo co na dziedzińcu, działo się i na zamku.

Dano znak... nagle cisza, tylko każdy prawą ręką chwyta czarę, powstaje, podnosi napój w górę... znów znak... i naraz ze stu ust huknęło:

— Niech żyją nowożeńcy!

Okrzyk silny, przeciągły ustał... cisza... za chwilę rozpoczął się znów gwar i skrzyp ław i stołów pod ciężarem biesiadników.

W bramie ukazało się trzech wędrowców. Byli to dwaj mężczyzni i kobieta.

Cóż za uroczystość na zamku? Ktoby się pytał? Wesele Stanisława Różewskiego, rycerza, na Różewie i Trzciniaku z Maryą Kostrzewską, panią na Kostrzewie. W komnacie zamkowej zebrane było dostojne towarzystwo. Na pierwszem miejscu siedziała Marya, tak samo jeszcze ubrana, jak do ślubu. Po prawej jej ręce siedział szczęściem upojony Stanisław, a po lewej Jerzy.

Znów na dane hasło zawrzasły setki głosów:

— Niech żyją nowożeńcy!

Sługa wszedł do komnaty.

— Jacyś ludzie chcą tu wnijść.

— Co za jedni? — zapytał Skirmunt.

— Wędrowcy.

— Niech wnijdą, — zawołała Marya.

Chwilę małą trwało milczenie, każdy z ciekawością zwrócił oczy ku drzwiom. Drzwi się otworzyły... Marya i Jerzy z okrzykiem zerwali się ze swych miejsc.

Marya Kostrzewska, Wacław i Wojciech Strzymscy stanęli w progu.

Z uczuciem niepodobnem do opisania, padły obiedwie Marye sobie w objęcia, a Jerzy ściskał się z Wacławem.

— Niech żyją nowożeńcy! — zagrzmiało po raz trzeci, aż Karpaty stokrotnem ozwały się echem.

KONIEC.

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Dokończenie.)

Żórawie noski, Geranium herba roberti, ziele bardzo znajome, tak zwane dla nasienników swoich lubo małych, przecież bardzo podobnych żórawim noskom. Zewnętrznie najwięcej używane bywają na puchlinę miejsc tajemnych i na zapalenie ogniste. — Bydłu zaś na zatrzymanie moczu krwawego, z paszą dawane, są osobliwem lekarstwem.

Zwiesinosek, ziele, Herminium vulgare, jest ogrodowe i dzikie. Dzikie rośnie po łąkach, ma liście podobne szałwii, ciemno-zielone; pręt wysoki i kosmaty, ostry, i kwiat czerwony, a strączki do ziemi zwieszone; w tych nasienie okrągłe i lepkie. Korzeń ten służy osobliwie na białe upławy. Liście zaś z kwiatem bzowym w winie moczone, dają winu smak muszkatelowy.

Żywokost, ziele, bardzo znajome, korzeń bardzo skuteczny na suchoty i plucie krwią, na ruptury. A zewnętrznie na złamanie kości używany goi bardzo. Rośnie na wilgotnych łąkach.

(Koniec.)